



12

Kwarantanna nasza powszednia



15

Ruch na Platformie

Tematy tygodnia

- 12 Marcin Kołodziejczyk
Wszyscy pójdziemy na kwarantannę?
- 15 Malwina Dziedzic
Co dalej z PO, co dalej z Trzaskowskim

Polityka

- 18 Ewa Siedlecka
Szkoła wychowywania wyborców
- 21 ROZMOWA POLITYKI
Geograf prof. **Dariusz Wójcik** o tym, jak pandemia zmienia mapę świata
- 24 Anna Dąbrowska
Jak rząd podkupuje samorządowców

Społeczeństwo

- 26 Dorota Masłowska o Polsce, w której zło krzyżuje się z absurdem, i swojej nowej książce
- 29 Juliusz Cwieliuch
Jak upada konsument
- 32 Marta Mazuś
Krzysztof Gonciarz: od youtubera do antycieżarówki
- 34 Edyta Gietka
Eurosieroty z Ukrainy

Rynek

- 36 Adam Grzeszak
Przemysł spotkań w zapaści

- 39 Violetta Krasnowska
Metropolitan Investment – znikające pieniądze
- Świat**
- 42 Klaus Bachmann NIEMCY
Armia znów z poboru?
- 45 Artur Domosławski BRAZYLIA
Prezydent oskarżony o ludobójstwo
- 48 Radosław Korzycki USA
Niepokorna sędzia Ginsburg
- 50 Artur Domosławski
Revolucja Messiego

Nauka i cywilizacja

- 52 Agnieszka Krzemińska
Wzorce męskości przez tysiąclecia
- 56 Paweł Walewski
Sezon szczepień ważniejszy niż kiedykolwiek

Historia

- 58 Tomasz Targański
Dzieje rosyjskich zabójstw politycznych
- 61 Jan Olaszek
Pieniądze panny S.

Kultura

- 68 Mirosław Pęczak
Ewa Demarczyk – patronka piosenki poetyckiej
- 71 KAWIARNIA LITERACKA
Pablopavo

- 72 Bartek Chaciński
O wyrzucaniu „Murzyna” ze słownika i czarnej literaturze
- 75 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 76 Rozmowa z **Tonje Hessen Schei**, autorką dokumentu „iHUMAN”, o sztucznej inteligencji

Na własne oczy

- 84 Agnieszka Krzemińska
Nowe życie „Wiedzy i Życia”



Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 64 Afisz • 78 Chutnik i Plebanek
- 80 Passent • 81 Tym • 82 Mizerski na bis
- 83 Do i od redakcji • 90 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Tęczowa afera mięsna

Prezident Andrzej Duda oświadczył, że co prawda związków partnerskich nie akceptuje, ale przeciwko osobie najbliższej nic nie ma i w pewnych rozsądnych granicach byłby nawet skłonny taką osobę uznać. „Gdyby była jakaś propozycja ustawy o osobie najbliższej, bez seksualizowania, to bym to poparł” – przyznaje, bo – jak powiada – w życiu są sytuacje, „gdy ktoś chce, by osoba mu najbliższa miała szersze możliwości wnikania, wglądu w jego osobiste sprawy”. Ważne tylko, żeby nie były to te sprawy, których niestety wszyscy się domyślamy, i żeby taka osoba występowała pojedynczo, a nie w związku partnerskim z inną osobą. No i żeby jej bliskość nie przekraczała granic przyzwoitości oraz żeby była zgodna z chrześcijańskimi wartościami. Niektórzy uważają tak liberalne podejście do osoby najbliższej za zbyt daleko idące, bo zwykle zaczyna się od bliskości, a kończy na seksualizacji. Ekspansywność środowisk LGBT po prostu nie zna granic, co potwierdza poseł Solidarnej Polski Jan Kanthak, który w San Francisco widział sklep mięsny dla środowisk LGBT. Widok musiał być straszny, bo mówiąc o tym, Kanthak wyglądał na przejętego. W tych okolicznościach zupełnie zrozumiała jest jego otwarta

niechęć do środowisk LGBT, a nawet ewentualne obrzydzenie do mięsa i wędlin.

Nie wiadomo, w jaki sposób Kanthak znalazł się w pobliżu mięsnego dla gejów – może stracił na chwilę czujność i zablądził? Sprawę powinny wyjaśnić władze jego partii. Uważam, że wyborcom Kanthaka należy się informacja, po co Kanthak kręci się w pobliżu takich przybytków i czy wszedł do środka. A jeśli tak, to czy dobrowolnie, czy może – co niestety wydaje się bardziej prawdopodobne – próbowano go tam brutalnie wciągnąć i obsłużyć na siłę.

U nas środowiska LGBT jeszcze nie otwierają sklepów z mięsem, ale dzielam niepokój Kanthaka, że to tylko kwestia czasu. Jest zresztą obawa, że po sklepach mięsnych przyjdzie kolej na osiedlowe piekarnie i sklepy z alkoholem. Najwięksi pesymiści przewidują, że ekspansywni geje mogą zażądać osobnych miejsc w autobusach, tramwajach oraz wagonach kolejowych. Osobiście uważam, że sklepy mięsne dla gejów jeszcze bardziej podzielią Polaków. Jeśli asortyment będzie w nich szerszy, a towar świeższy niż w zwykłych mięsnych, może dojść do wybuchu społecznego niezadowolenia, a nawet fizycznej agresji u tych zwolenników mięsa i wędlin, którzy opowiadają się za tradycyjną rodziną złożoną z kobiety i mężczyzny. Szczególnie niebezpieczne będą darmowe degustacje i promocje na wybrane rodzaje wędlin, które przyciągną do tych sklepów niczego nieświadomych rencistów i emerytów. Niewykluczone, że ofiarami takich promocji padną również lekkomyślnie wysyłane po mięso dzieci.



Poszerzamy horyzonty

Od września POLITYKA wydawcą miesięcznika „Wiedza i Życie”



Najnowszy wrześniowy numer
„Wiedzy i Życia” już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Ostatni mit



Jerzy Baczyński

Obachody 40-lecia Porozumień Sierpniowych, czyli narodzin Solidarności były, jak się spodziewaliśmy, raczej skromne, kameralne i lokalne. Odbyło się co prawda sporo, niekiedy bardzo poruszających, spotkań i wystaw przypominających czasy i ludzi Solidarności (relacja z Gdańska na s. 7), ale to na pewno nie było święto państwowe. Przykre, że rocznica jednego z najbardziej niezwykłych wydarzeń w historii Polski i w ogóle współczesnego świata dołączyła do innych spapanych narodowych obchodów.

W ogóle pisowska polityka historyczna, wbrew szumnym i patetycznym deklaracjom, jest dramatycznie nieporadna i bałaganiarska. Przypomnijmy sobie, jak koncertowo PiS ośmieszył obchody 100-lecia odzyskania niepodległości, których centralnym punktem stał się dziwny marsz grupki działaczy PiS w roli czołówki pochodu narodowców. A ostatnie niby-obchody 100-lecia Bitwy Warszawskiej, gdzie zamiast przez lata zapowiadanego muzeum, obelisku, łuku triumfalnego dostaliśmy jakieś żenujące, robione pod TVP, widowisko na Stadionie Narodowym? A kolejne rocznicowe obchody na Westerplatte, urządzone „na złość” władzom Gdańska, w cieniu dyplomatycznej awantury z niemieckimi sojusznikami, których ambasadora PiS nie chce wpuścić do Polski? I tak można rocznicę po rocznicy. Historyczne preteksty i symbole, ważne dla narodowej wspólnoty, są systematycznie odzieran z powagi i sensów, przykrywane awanturami (jak teraz o własność tablic Solidarności), banalizowane byle jakimi, służącymi bieżącej propagandzie politycznej, interpretacjami.

Święta Solidarności szkoda tu szczególnie, bo to jeszcze nie jest przeszłość. Dzieje Solidarności, zarówno te realne, jak i zmitologizowane, to przecież jedyna opowieść założycielska dzisiejszej Polski choć – faktycznie – dziś występująca w dwóch wariantach, jasnym i ciemnym. Ta jasna, chyba wciąż najmocniej osadzona w pamięci zbiorowej, prowadzi od Porozumień Sierpniowych i Karnawału Solidarności, przez stan wojenny, Okrągły Stół, wybory czerwcowe, rząd Mazowieckiego i Balcerowicza, aż do Unii Europejskiej. Rywalizuje z nią opowieść alternatywna, mroczna wizja tej samej historii budowana przez Jarosława Kaczyńskiego. Długo marginalna, „oszołomska” – wraz z wyborczymi zwycięstwami PiS – stopniowo nabiera rangi oficjalnej, państwowej (ma być też podstawą edukacji historycznej, piszemy o tym na s. 18). To, mówiąc najkrócej, dzieje zdrady. Tu zamiast Lecha Wałęsy jest agent Bolek, a prawdziwym liderem Solidarności zostaje Lech Kaczyński; Okrągły Stół zmienia się w zмовę Magdalenki; przełom 1989 r. to zapowiedź spisku solidarnościowych elit z postkomunistami i wyprzedzący narodowych interesów. I tak aż do kulminacji zaprzaństwa w zamachu smoleńskim.

Ta narracja, ewidentnie zrodzona z osobistego konfliktu Jarosława Kaczyńskiego z Wałęsą, przez lata została obudowana spiskowymi teoriami, legendami, emocjami, także coraz silniejszą organizacją. Zemsta na Wałęsie, wyrwanie go z historii Sierpnia, nie mogła się jednak dokonać bez dekonstrukcji całego mitu Solidarności. Jeśli zabieg nie do końca się udał (choć wizerunek Wałęsy, także z powodu jego własnych cech i osamotnienia, został zdewastowany), to głównie dlatego, że wciąż żyją miliony świadków, którzy kompletnej fikcji nie dadzą sobie wmówić. Jednak ta przepychanka bardzo utrudnia,

wręcz uniemożliwia, sensowną rozmowę i o faktach, i o spuście Solidarności. Tworzy fałszywy front.

Solidarności nie warto redukować do kolejnego powstania narodowego i „walki o niepodległość”; to był także, a wtedy przede wszystkim, reformatorski bunt pracowniczy i spontaniczny ruch obywatelski, domagający się przestrzegania przez władze podstawowych demokratycznych norm i praw człowieka. Budowana ad hoc specyficzna ideologia i etyka Solidarności, a jeszcze bardziej praktyka ruchu, przywoływane dzisiaj, muszą jednak w obozie władzy wywoływać dyskomfort, niechęć do czczenia i świętowania.

W okolicznościowych wspomnieniach wraca opis niepowtarzalnego, pokoleniowego przeżycia, euforyczne doświadczenie wspólnoty – czegoś takiego, co dziś obserwujemy na Białorusi – spontanicznej sympatii, samopomocy, solidarności. Bez wykluczania kogokolwiek (poza, rzecz jasna, funkcjonariuszami reżimu); bez pytania skąd jest i dlaczego przeszedł. „S”, wraz ze swoimi 10 mln członków, była imponującą pluralistyczna, rozciągnięta od ateistów po gorliwych katolików, od „prostych robotników” do intelektualistów. Również dlatego kierownictwo związku, doradcy, działacze hamowali radykalizmy, zarówno zachowań, jak i języka. Porozumienia Sierpniowe i potem Okrągły Stół to był też sukces negocjacyjnej formy rozwiązywania konfliktu – i nie chodzi tu o zupełnie inny kontekst historyczny, który nie pozwalał prowokować, ryzykować krwawej konfrontacji, ale także o wewnętrzny styl Ruchu, gdzie bardzo pilnowano demokratycznych procedur, gdzie formą istnienia były niekończące się narady, konsultacje, uzgodnienia, na które nie żałowano czasu ani uwagi.

I wreszcie sama koncepcja Samorządnej Rzeczypospolitej – istota „ideologii” Solidarności. A więc: samorządy terytorialne, niezależne związki zawodowe, stowarzyszenia i spółdzielnie, autonomia kultury, wolność mediów, nauki, wyznania. Twardym postulatem „S” było żądanie odpartyjnienia państwa i gospodarki, zastąpienie nomenklatury i nepotyzmu kadrowego otwartym konkursem kompetencji. Rzeczywiście, niemal wszystko jest w tej historii na przekór obecnej władzy.

Realia gospodarcze i polityczne, w jakich 10 lat później ludzie Solidarności przejmowali władzę, źle obeszły się ze sporą częścią tamtych postulatów i wyobrażeń; zwłaszcza te gospodarcze pozostały na tablicach Solidarności jako znak czasów. Wiele jednak do dziś może służyć jako punkt odniesienia i wyrzut sumienia. Nawet jeśli 40-lecie przynosi już tylko nostalgię, tęsknotę za utopią, lepszą wersją nas samych, bez tego mitu zostalibyśmy już tylko skłóconym, źle zarządzanym, oglupionym, prowincjonalnym, beznadziejnym krajem. Jeśli odrzucimy, zapomnimy, przemielimy w politycznych młynach legendę Solidarności, Polska straci część duszy i urody. Skarleje.

Jan Koza



KOMENTARZ

Dwa Sierpień

Łukasz Lipiński

Symbolem 40. rocznicy Sierpnia '80 miała być otwierająca się na oścież **historyczna brama nr 2** Stoczni Gdańskiej. Ta brama, z której Lech Wałęsa podczas strajku codziennie przekazywał mieszkańcom Gdańska postępy rozmów z delegacją rządową. I ta sama, z której ogłosił po podpisaniu porozumień gdańskich: „Mamy wreszcie niezależne, samorządne związki zawodowe. Mamy prawo do strajku. A następne prawa ustanowimy już niedługo”.

To porozumienia podpisane 31 sierpnia otworzyły drogę do powstania Solidarności jako szerokiego ruchu społecznego, który w ciągu kolejnych dekad przyczynił się do zmiany oblicza Polski i Europy. „To największe zwycięstwo w historii Polski” – powtarzał Wałęsa. „Nie tylko pokonaliśmy nieprzyjaciół, ale przekonałymi ich do tego, żeby się do nas przyłączyli”.

Lecz Sierpień od lat już nie łączy. Na scenie ustawionej tuż obok historycznej bramy 40 lat później stanęli bohaterowie tych dni: Lech Wałęsa, Henryk Krzywonos, Bogdan Lis i Władysław Frasyniuk, a obok nich marszałek Senatu Tomasz Grodzki i prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz. W strugach deszczu, mimo covidowych obostrzeń, oklaskiwało ich kilkuset gdańszczan oraz gości z flagami polskimi, europejskimi, białoruskimi i tęczowymi („Niech wam tęcza nie przeszkadza” – apelował do Polaków Frasyniuk).

Tuż obok tej sceny, w odległości kilkunastu metrów, stanęła jednak druga, większa. Jak na ironię, ustawiona do niej bokiem, żeby podkreślić, że nie ma z tą pierwszą nic wspólnego. Na tej scenie kilka godzin później odbyły się państwowe obchody rocznicy Sierpnia. Do Gdańska po południu przyjechali prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki, przemawiał szef obecnej Solidarności Piotr Duda. Wszystko w Gdańsku odbywało się równolegle: debaty o tym, co zostało z dziedzictwa Solidarności, i o wyzwaniach przyszłości



© BARTOSZ BANKA/AGENCJA GAZETA

trwały w Europejskim Centrum Solidarności i rozstawionym wokół namiotowym miasteczku samorządowo-społecznym oraz osobno, w historycznej sali bhp, pod auspicjami stoczniowej Solidarności.

Wszystko najlepiej podsumowała Dulkiewicz, która mówiła o trzech uczuciach towarzyszących jej pod bramą stoczni. Wdzięczności wobec wszystkich, którzy byli bohaterami tamtych dni – nie tylko radosnego Sierpnia, ale też późniejszego stanu wojennego. Zakłopotania, czy może nawet wstydu, że nawet w 40. rocznicę świętujemy osobno („Ich 10 mln, nasze 10 mln. Co się z nami stało? Oni i my” – mówiła). I wreszcie wzruszenia, którego nie sposób nie poczuć w tym miejscu w takim momencie. „Ale nie chcę wracać do domu jedynie wzruszoną, chcę praktykować solidarność” – skonstatowała.

Z tegorocznego święta coś zostanie, bo przybyli do Gdańska samorządowcy, w tym prezydenci największych miast (Rafał Trzaskowski był obecny za pomocą łącza wideo ze względu na awarię Czapki), powołali nowe stowarzyszenie: Samorządy dla Polski, które ma propagować ideę samorządności, wspierać wspólnoty lokalne i promować społeczeństwo obywatelskie. W czasach, gdy samorządy są kreowane przez PiS na jednego z najważniejszych wrogów władzy, takie zwarcie szeregów i wzajemne wsparcie na pewno im się przyda.

Szkoła w pandemii

Mierzenie temperatury w progach szkół, lekcje na zmiany, od świtu do wieczora – to tylko niektóre z rozwiązań mających zapewnić bezpieczeństwo uczniom i nauczycielom wracającym do tradycyjnej nauki i pracy. Przerwa wywołana epidemią koronawirusa trwała od połowy marca. Przez ten czas władze nie opracowały całościowego pomysłu na edukację w warunkach kryzysowych. Dyrektorzy samodzielnie obmyślali sposoby działania ich szkół w sytuacji ryzyka zetknięcia z wirusem. Część po prostu pochowała stojące na korytarzach pufy oraz dywany, usunęła gry planszowe z klas, zostawiając najpotrzebniejsze plastikowe pomoce, łatwe do czyszczenia. Niektórzy postanowili potraktować sytuację jako okazję do głębszych działań wychowawczych. – Początek pierwszego wspólnego dnia spędzimy na rozmowie z uczniami o tym, co zdarzyło się w ostatnich miesiącach: jakie epidemia budzi w nich emocje i przemyślenia. Później zajmiemy się procedurami bezpieczeństwa – mówi Ewa Radanowicz, dyrektorka szkoły podstawowej im. Kornela Makuszyńskiego w Radowie Małym. – Chcemy, żeby dzieci same oznaczyły strefy, w których

ze swoimi klasami będą się poruszać. U nas tych stref będzie pięć, tyle samo, co wejść do szkoły na stałe przypisanych dla każdej klasy. Dzieci wybiorą też i oznaczą sprzęty, których nie należy dotykać, ponieważ nie da się ich zdezynfekować. Lekkie wieszaki na kurtki rozstawiono na korytarzach przy klasach. Pozwala to tymczasowo zrezygnować z szatni – wąskiego gardła wielu szkół, gdzie nie sposób uniknąć gromadzenia się w ścisłości. – Uczniowie będą zmieniać sale tylko na zajęcia komputerowe i WF. Nauczycielki plastyki i muzyki będą przychodzić do klas. Będzie to ze stratą dla jakości pracy, ale zamierzamy też obserwować, co będzie się działo, na ile będzie można sięgać po metodę projektów – zapowiada dyr. Radanowicz.

W wielu budynkach nie da się jednak wydzielić stałych stref poruszania się. – Nasz gmach składa się z dwóch skrzydeł, ale jest mały: 19 pełnowymiarowych sal na 25 oddziałów. Pracownia do języka hiszpańskiego mieści się we wschodnim skrzydle, do niemieckiego zaś w zachodnim. Nie sposób ich wyłączyć – mówi Zbigniew Ślęzakowski, dyrektor XXII LO z Oddziałami Dwujęzycznymi im. José Martí w Warszawie. Zamierza przypominać o korzystaniu z pływów do dezynfekcji rozstawionych we wszystkich pomieszczeniach oraz namawiać do pozostawiania

w maseczkach przez uczniów oraz nauczycieli i na przerwach, i w trakcie lekcji. Dyrektorzy apelują też o noszenie własnych żeli i chusteczek odkazających, a także rękawiczek jednorazowych do pracy na klawiaturach komputerowych.

W końcówce wakacji brak było jasności w sprawie wynagradzania nauczycieli za pracę stacjonarną i ewentualną dodatkową, zdalną: z dziećmi na kwarantannie. Dyrektorzy, z którymi rozmawialiśmy, nie doszli do tego poziomu szczegółów w rozmowach z samorządami prowadzącymi ich szkoły. – Do ostatniej chwili nie byliśmy też w stanie ułożyć kompletnego planu lekcji – powód to braki kadrowe. Spośród dotychczasowych siedmiorga nauczycieli w wieku 65 plus w naszej szkole troje zakończyło pracę z obawy przed zachorowaniem. Na miejsce nauczycielki fizyki wciąż nie mam następcy – przyznał tuż przed 1 września dyr. Ślęzakowski. Na emeryturę odchodzą także nauczycielki przedszkoli. – Mąż ma rozedmę płuc, nie mogę przynieść wirusa do domu – tłumaczy Barbara z woj. zachodniopomorskiego. – Nie była to łatwa decyzja. Pracowałam z dziećmi 35 lat, to moja pasja. W dodatku w kasie gminy nie ma pieniędzy na odprawę emerytalną dla mnie. Może dostanę ją w styczniu. (J.CIEŚ)

Wejdą, nie wejdą?

Radostaw Sikorski

Białoruska rewolucja ma pewne podobieństwa z ukraińskim Majdanem, ale różnic jest więcej. Na Ukrainie szło o korupcję i kurs na Europę, w Białorusi – o bezczelnie sfalszowane wybory. Ukraina miała realny parlament i to utrata poparcia we własnej frakcji przypieczętowała los prezydenta Janukowycza. Miała też liderów opozycji parlamentarnej, którzy byli partnerami do rozmów. I co najważniejsze, Ukraina nie bała się interwencji Rosji, choć – jak teraz wiemy – powinna była.

Powszechne domniemanie, że Putin może w każdej chwili zaprowadzić w Mińsku swoje porządki, determinuje zachowanie Łukaszenki, opozycji i Europy, w tym Polski. I tak jak na Ukrainie stawką rewolucji była geopolityczna orientacja kraju, tak w Mińsku jedyną szansą na sukces jest przeprowadzenie zmiany władzy bez reorientacji. Łukaszenka, któremu Putin uratował skórę, nie będzie już tym samym Łukaszenką. I wygląda na to, że spotulniały, gotowy na wdrożenie ZBiR-u (Związek Rosji i Białorusi) Łukaszenka to dla prezydenta Putina scenariusz numer jeden. Maksimum korzyści przy minimum kosztów.

Drugi to zapewne podmiana Łukaszenki na kogoś z wewnątrz białoruskiej nomenklatury. Wymiana dyktatora na opozycjonistę, nawet prorosyjskiego, byłaby przyznaniem sprawstwa ulicy, a to ostatnie, do czego chciałby dopuścić Władimir Putin. Bo dla niego Białoruś to nie tylko terytorium podejścia do przestrzeni powietrznej nad Moskwą i pomost w kierunku okręgu królewieckiego, lecz przede wszystkim laboratorium polityczne w zarządzaniu społeczeństwem. Jeszcze by tego brakowało, żeby Białoruś miała być prekursorem w demokratyzacji Rosji.

Unia Europejska nie ma wielkiego wpływu na bieg wydarzeń w Mińsku i dobrze, że nie udaje, że ma. Z jednej strony może wprowadzać sankcje na winnych łamania praw człowieka, z drugiej



– przypominać, że Białoruś nie wykorzystwała jeszcze wszystkich możliwości Partnerstwa Wschodniego, takich jak ruch bezwizowy. Opozycja rozumie, że jej pole manewru jest ograniczone, co mądrze wyraziła w swej wypowiedzi dla Parlamentu Europejskiego Swiatłana Cichanouska. Najlepsze, na co może liczyć, to transformacja typu ormiańskiego sprzed paru lat – to jest w ramach wyznaczonych przez konieczność bliskich stosunków z Rosją.

Polska jest jedynym z dużych krajów w Unii, który graniczy jednocześnie z Białorusią i z Rosją, dlatego powinna przewodzić unijnej polityce w tej sprawie. Dobrze, że premier Morawiecki uzyskał

zwołanie zdalnego posiedzenia Rady Europejskiej ws. Białorusi, ale w grze dyplomatycznej bardziej widoczne są Niemcy i Litwa. Gdybyśmy nie obrażali Francji, nie droczyli się z Niemcami i nie łamali europejskich traktatów, to Trójkąt Weimarski plus Litwa byłby naturalną grupą przywódczą. Tak jak wcześniej bywało, Rada do Spraw Zagranicznych mogłaby uzgodnić wspólne stanowisko całej UE wobec kryzysu, po czym powierzyć grupie ministrów prowadzenie bieżącej dyplomacji w imieniu Wysokiego Przedstawiciela. Wtedy byłby to punkt odniesienia nie tylko dla opozycji, ale przede wszystkim dla Łukaszenki i Moskwy. A tak poszczególne państwa swawolą na boku, z przewidywalnym rezultatem.

Polska współpracująca z Unią i z Niemcami w innych ważnych projektach – 5G i stosunki z Chinami, europejskie podatki i obronność czy cywilizowanie Trumpa – miałyby dość siły, aby ich przekonać do swojej wizji stosunków ze wschodem Europy. W sprawie dla nas żywotnej, a dla nich drugoplanowej mogłaby użyć całej siły Unii do realizacji naszych interesów. Ale po co rozmawiać z Niemcami, jak poważny kraj z poważnym krajem o trochę różnym potencjale, skoro można nie dać zgody na przyjazd kandydatowi na ambasadora Niemiec z doświadczeniem w NATO za to, że jego tatuś w Kętrzynie rysował Hitlerowi mapy sztabowe. Mając do wyboru interes Polski albo rzucenie kości elektoratowi nostalgicznemu, wiadomo, że wygrać musi pusty gest.

Relacja z Białorusi, s. 10.



Gdzie nocuje PiS

Naszym gościom zapewnimy 4-gwiazdkowy standard wypoczynku w klasycznych wnętrzach, relaks w strefie spa, niezapomniane przeżycia kulinarne oraz przestrzeń konferencyjną o nieograniczonych możliwościach. I jeszcze: „Przestronny, stylowy pokój z dużym łóżkiem małżeńskim, przeznaczony dla osób, które szczególnie cenią sobie przestrzeń i komfort” – tak

reklamuje się ulubiony przez polityków PiS **hotel w Jachrance** nad Zalewem Żegrzyńskim. To tu od lat odbywają się posiedzenia wyjazdowe klubu parlamentarnego, czasami dwudniowe. Ostatnio w sierpniu. Hotel się tym szczyci. „Z dala od zgiełku miasta, zaszczyceni byliśmy możliwością przygotowania miejsca na wystąpienie Prezesa partii Jarosława Kaczyńskiego”. – *To elegancki, wysokiej klasy hotel ze spa. Dobrze się tu pracuje, partia opłaca ten wyjazd* – mówi poseł PiS. Pokój kosztuje od 250 do 650 zł, ale nikt nie narzeka, że jest zbyt luksusowo. Co innego, kiedy na takie wyjazdowe posiedzenie wybiera się opozycja. Jak w przypadku KO, której parlamentarzyści mieli się spotkać na początku września w czterogwiazdkowym hotelu ze spa w Lidzbarku Warmińskim. Sprawę nagłośnił Onet, a na polityków Koalicji posypały się gromy.

– *W Jachrance mamy podobny standard jak w hotelu, który zarezerwowała KO.*

Ale u nas jest większa dyscyplina i wiadomo, że nie wolno wrzucać do sieci zdjęć z takiego pobytu. Pewnie znów, jak z podwyżkami, wystraszą się krytyki. Tak jakby ich wyborcy nie jeździli do podobnych hoteli – słychać w PiS. Z rachunków partii Kaczyńskiego wynika, że rzeczywiście, jak twierdzi nasz rozmówca, partia nie dziaduje i jak trzeba, to wydaje na porządne noclegi. Np. 30 maja 2019 r. z partyjnego konta, z subwencji budżetowej, opłacono rachunek na 3,5 tys. zł za pokój w hotelu w Londynie, który reklamuje się jako miejsce z „butikowym szykiem”. W minionym roku PiS tylko w czasie konwencji w Katowicach wydał 85 tys. na hotele dla najważniejszych polityków swojej partii. – Nasi wyborcy rozumieją, że takie posiedzenia klubu są potrzebne i nie będziemy dziadować, a politycy opozycji dali się zwariować. Może niech spotkają się w hostelu? – ironizuje przedstawiciel PiS. (DĄB.)

Wakacje z prezesem

Lukasz Szumowski w minionym tygodniu pływał po Wyspach Kanaryjskich luksusowym jachtem należącym do biznesmena i konsula honorowego Islandii. W tym czasie Jarosław Kaczyński przemierzał Zalew Szczeciński. Jak co roku w towarzystwie Joachima Brudzińskiego, pierwszego wiceprezesa partii, który relacjonował urlopową wyprawę na Twitterze. Towarzyszył im m.in. minister gospodarki wodnej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk, który niebawem skończy swój ministerialny rejs – przy okazji rekonstrukcji rządu prezes zlikwiduje jego resort. Obecny był też, już tradycyjnie, Czesław Hoc, koszaliński poseł PiS, wieloletni przyjaciel Brudzińskiego – ten skutecznie pilnuje, by Hocowi nie wyrosła w okręgu żadna konkurencja. Wspólne wakacje z prezesem są tego gwarancją.

Pogoda też nie była dla nich łaskawa, ale tym razem nie zdecydowali się założyć patriotycznych biało-czerwonych peleryn, które po wakacjach prezesa w 2017 r. stały się sprzedażowym hitem. Dawniej, kiedy jeszcze Kaczyński nie miał problemów z kolanem, wędrował po górach Beskidu Sądeckiego, czyli rodzinnych stronach Brudzińskiego.

„Joachim ma w Szczecinie bardzo sympatyczny krąg towarzyski wywodzący się z uniwersytetu. Spotykam się z nimi, kiedy jestem w tym mieście. Tam są dwie knajpki: jedna czysto studencka, druga półstudencka, prowadzone przez ludzi z uniwersytetu” – pisał Jarosław Kaczyński w książce „Polska naszych marzeń” w 2011 r. I dodawał: „To takie miejsce, gdzie przed tragedią smoleńską miło spędzało się czas. A teraz takie miejsca są już czymś innym, niż były, ale mimo wszystko, gdy jestem w Szczecinie, odwiedzam je. Nie chcę odmawiać, chociaż wiem, że powrotu do świata sprzed 10 kwietnia 2010 r. dla mnie nie ma. Ale coś mnie tam ciągnie, jest tam jakiś specyficzny



© JOACHIM BRUDZIŃSKI/TWITTER

nastrój, który pozwala mi przez chwilę być jakby przed tym strasznym dniem. I za to też Joachima lubię”.

Kiedy żył Lech Kaczyński, to z nim i jego żoną prezes PiS spędzał wakacje. Kiedyś przez lata bywali na urlopach w leśniczówce pod Sławnem (Zachodniopomorskie). Kiedy Lech został prezydentem, odpoczywali razem w prezydenckim ośrodku w Juracie. Hanna Fołtyń-Kubicka, przyjaciółka rodziny Kaczyńskich, opowiadała w „Dzienniku Bałtyckim” kilka lat temu: „Moja siostra bliźniaczka Inka 20 lat temu kupiła stuletnią szkołę w Bukowcu. To w Borach Tucholskich. Żartowałam do Leszka i Marylki, że jak zarobię duże pieniądze, to stworzymy tam wesoły dom starszaków.

Jeszcze Jarka weźmiemy, żeby nie był sam. Bo Marylka zawsze powtarzała, że Jarkiem się trzeba zaopiekować. (...) Będziemy sobie chodzić do lasu, nad jezioro, będziemy mieć dużo zwierząt. I będzie pięknie – snuliśmy plany. Nie będzie”.

Teraz to Brudziński dba o to, aby prezes miał namiastkę wakacji. – *Joachim chętnie zaprasza prezesa do Szczecina, bo może pokazać, że choć wyjechał do Brukseli, to jego relacja z Jarosławem wciąż jest bardzo dobra. A prezes jest mu wdzięczny za te wyprawy i nie chodzi tylko o ocieplanie wizerunku, ale też oderwanie się na chwilę od Nowogrodzkiej i rządzenia całym państwem* – mówi polityk PiS. Brudziński ostatnio nie ma w partii najlepszych notowań, a odpowiada za ważny odcinek – jest szefem struktur. W kampanii prezydenckiej narzekano, że ludzie w terenie odpuszczają, a Brudzińskiemu tak bardzo spodobało się brukselskie życie, że nie ma czasu pociągnąć za cugle. Zaczęto nawet przezywać go „Bruksiński”.

Po weekendowej wyprawie z prezesem, a przed jesiennym kongresem, który ma wybrać władze PiS na wszystkich szczeblach, Joachim Brudziński znów pokazał, że dla Kaczyńskiego wciąż jest jednym z najbliższych i najważniejszych współpracowników. (DĄB.)

REKLAMA

Poznaj przyszłość...
Jest gotowa do jazdy.

PRZETESTUJ CAŁKOWICIE NOWY, ELEKTRYCZNY LIVEWIRE™

Niesamowite przyspieszenie. Od 0 do 100 km/h w trzy sekundy.
Natychmiastowo dostępna pełna moc. Brak biegów. Tylko czysta przyjemność jazdy. W pełni elektryczny i ekscytujący.
Oto LiveWire™.

ZAREZERWUJ SWOJĄ JAZDĘ NA
WWW.HARLEY-DAVIDSON.PL

© 2020 H-D. Harley-Davidson, H-D, Harley oraz logo Bar & Shield są znakami towarowymi H-D U.S.A., LLC



Kup książkę

Na przeczekanie

Białoruska władza wyczerpała już większość środków tłumienia buntu społecznego. Zostały tylko te najbardziej radykalne.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI Z MIŃSKA

Aleksandr Łukaszenka już się nie znęca nad ludźmi. Nie dlatego, że się zlitował, ale dlatego, że niespodziewanie dla siebie wywołał tak silną reakcję moralną w społeczeństwie, marsze i strajki solidarnościowe, że prawie stracił władzę. Teraz władza – co było widać w ostatni weekend – już stara się tylko utrudniać demonstracje i czekać. Straszyć, ale w białych – jak na Białoruś – rękawiczkach. Rano barykaduje place, sprowadza ciężki sprzęt, wyprowadza służby na ulice. Na protesty reaguje od razu aresztowaniami i rozpędzaniem. Ale nie bije, nie torturuje i stara się zachowywać w cywilizowany sposób.

Józefa Piłsudskiego w Polsce. Ktoś, kto stosował wprawdzie autorytarne metody – w tym nawet zamach stanu – ale jednocześnie wiedział, jak zadbać o równość społeczną, bezpieczeństwo międzynarodowe i względny dobrobyt. A przede wszystkim jako twórca nowoczesnej Białorusi. Protestujących oburza między innymi to, że ich ojczyzna – właśnie z winy trzymającego się władzy Łukaszenki – jest przez świat postrzegana jako zapadła dziura.

Tymczasem Białoruś jest najbogatszym, najbardziej równym (nie ma kraju w UE o mniejszych nierównościach społecznych, włączając w to kraje skandynawskie), zaawansowanym technologicznie i oferującym najbardziej opiekuńcze państwo z byłych republik radzieckich. Według Banku Światowego również poziom biedy jest tu niższy niż w jakimkolwiek kraju Unii. Nie ma oligarchii, przestępczości ani bezrobocia. Do tego Białoruś jest państwem, które nie przeszło deindustrializacji.

Czy to nie jest lepszy scenariusz niż droga państw, które przeszły demokratyzację, prywatyzację i kolorowe rewolucje? Gruzja, Mołdawia czy Ukraina są dziś co najmniej o połowę biedniejsze, rozczłon-



Ostatecznie jednak na nic zdało się blokowanie demonstracji przez milicję i OMON, siły specjalne. W weekend ludzie przełamali opór i znów wyszli masowo na ulice. Łukaszenka może czuć się ośmieszony – rozkazał, a MSW i KGB obiecały, że skończą z „zamieszkami”. I nie skończyły. Powszechne za to stały się hasła wolnościowe i niepodległościowe. Wszyscy noszą biało-czerwono-białe flagi i symbole Pogoni. Rozwinął się związan z tym „mały sabotaż”. Obywatele rozwieszają na przykład między blokami wielkie flagi, które niełatwo zdjąć. Albo puszczają z rzutników ogromne symbole Pogoni.

Łukaszenka próbuje więc grać na czas. Ile można wychodzić na ulicę pod hasłami wolnościowymi? Gdyby chodziło o hasła socjalne, które były paliwem także polskiego sprzeciwu w 1980 r., to ludzka determinacja byłaby bardziej zrozumiała. I tylko poprawa gospodarcza mogłaby tu coś zmienić. Na demonstracjach, a nawet wśród robotników, nie słychać jednak haseł socjalnych. Strajkujący wciąż górnicy w Soligorsku zarabiają lepiej niż ludzie w Mińsku. I jak w każdej fabryce mają wszystkie możliwe świadczenia socjalne, własne szpitale, instytucje opieki i kultury itd.

Gdyby Łukaszenka odszedł kilka lat temu, zapamiętany byłby jako twórca nowoczesnego państwa białoruskiego. Ktoś na kształt

skowane terytorialnie i praktycznie w stanie wojny. Cena za to jest jedna: dyktatura. Łukaszenka wciąż liczy na to, że naród go doceni. A ludzie, którzy przecież nie są przyciśnięci do muru ekonomicznie, w końcu przestaną protestować.

Niecierpliwość władzy rośnie. Na demonstrujących nie działają już sztuczki, na które liczyła, czyli straszenie Rosją i pokazywanie się z kałasznikowem w dłoni. Ile razy można robić wrażenie tym samym? Jeśli pierwsza parada prezydenta z bronią i cztery telefony do Władimira Putina nie sprawiły, że ludzie przestali demonstrować, to kolejny występ z karabinem i kolejna rozmowa z prezydentem Rosji będą pokazem słabości, a nie siły. Łukaszenka ewidentnie szuka nowej strategii. Jest znany z braku skrupułów, więc bardziej prawdopodobne niż podzielenie się władzą, jak zrobili to komuniści w 1989 r. w Polsce, jest strzelanie do obywateli. W niedzielę przez Mińsk przejechały wozy opancerzone. To wyglądało raczej żałośnie, tak jak latanie helikopterem z kałasznikowem pod ręką. Ale co będzie, jeśli Łukaszenka ich w końcu użyje? A z pewnością może.

Łukaszenka miał wziąć demonstrujących zmęczeniem, ale na razie to oni na zmęczenie biorą jego, radząc sobie ze wszystkimi używanymi przeciwko nim metodami.



Abe dobiegł do mety

Jeśli wraz z odejściem **Shinzō Abego** kończy się w Japonii epoka, to co się zaczyna? Zdecydował stan zdrowia, najdłużej urzędujący japoński premier przyznał, że nie może pracować z dawną intensywnością, poczeka tylko na wyłonienie swego następcy, później odda się w ręce lekarzy. W Partii Liberalno-Demokratycznej (Abe jest jej szefem) trwa zacięta rywalizacja, a spośród kilku pretendentów do władzy w partii i w rządzie (sami mężczyźni) największym faworytem ma być Yoshihide Suga, 71-letni szef gabinetu

premiera, dotąd pozostający w cieniu funkcji i przełożonego.

Intensywna rotacja na stanowisku szefa rządu była zjawiskiem stałym, ale Abemu udało się na rekordowych osiem lat ustabilizować gabinet. Poświęcił je na ambitną próbę szarpnięcia cuglami pogrążonej w le-targu gospodarki. Abenomika, jak nazwano jego program wyrwania się ze stagnacji, nie sprostала jednak wyzwaniom starzejącego się społeczeństwa, nie doszło też do zapowiadanych głębokich reform, zostało za to przyzwyczajanie do wielkich pakietów

stymulacyjnych i też rekordowy dług publiczny, pozostający co prawda w znacznej mierze w japońskich rękach.

Nie powiedła się również rewizja pacyfistycznego ducha powojennej konstytucji, mająca prowadzić do militarnego podbudowania międzynarodowej pozycji kraju, co budziło spore obawy w regionie Azji Wschodniej. Sam Abe zarzuca sobie, że przede wszystkim nie zdołał uwolnić japońskich obywateli uprowadzonych przez reżim Korei Płn. No i nie doprowadził do jakiegś poważniejszej zmiany w stosunkach z Chinami, nie doszło np. do zapowiadanej przez lata wizyty chińskiego genseka Xi Jinpinga. Z powodzeniem za to przełamał niechęć prezydenta USA Donalda Trumpa do Japonii, być może przesądziła chemia, gra w golfa i częste rozmowy.

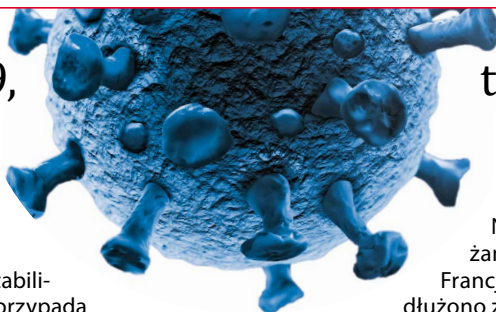
Moment na rozsady nie wydaje się najlepszy. W drugim kwartale gospodarka skurczyła się o 27,8 proc., spodziewana jest nowa fala koronawirusa, mogąca choćby postawić pod znakiem zapytania przełożone na przyszły rok igrzyska letniej olimpiady w Tokio. Na dodatek prezydenta wybierają mocno spolaryzowane Stany Zjednoczone, dające Japonii ochronę przed wcale nie-malejącą wojowniczością Chin. Następca będzie więc skakał na głęboką wodę.

COVID-19,

tydzień czterdziesty

Liczba przypadków koronawirusa w 198 państwach przekroczyła próg 25 mln, w ciągu tygodnia przybyło 1,8 mln, a liczba ofiar zbliża się do 850 tys. (według Johns Hopkins University, w poniedziałek, 31 sierpnia). Geografia pandemii ustabilizowała się. Ponad połowa nowych zakażeń przypada na Stany Zjednoczone, Brazylię i Indie. W USA zanotowano blisko 6 mln przypadków i 183 tys. ofiar śmiertelnych. Prezydent Trump, przemawiając w ramach konwencji Republikanów, która wysunęła go jako kandydata na drugą kadencję, zapowiedział dostępność szczepionki „do końca roku, a może nawet wcześniej”. W Rosji szczepienia Sputnikem V mają ruszyć w październiku.

Najsilniejsze ognisko koronawirusa znajduje się w Ameryce Łacińskiej – ponad 7 mln infekcji – głównie w Brazylii, Meksyku, Peru, Kolumbii i Chile. W Brazylii liczba nowych przypadków przekroczyła 3,9 mln, jest ponad 120 tys. ofiar śmiertelnych. Według opinii ministerstwa zdrowia pandemia „przekroczyła punkt krytyczny”. Karnawał w São Paulo został z lutego 2021 r. przeniesiony na październik, Rio de Janeiro czeka podobna decyzja. Indie – azjatyckie epicentrum – mają 3,6 mln chorych, codziennie przybywa 79 tys., choć dane te uważane są za mocno zaniżone. Rok szkolny przesunięto na razie o miesiąc. W Rosji, czwartej pod względem liczby przypadków, jest ich blisko milion i 17,1 tys. śmiertelnych. Ponad połowa przypadków w Afryce – 625 tys. – przypada na RPA; według analizy organizacji ACDC liczba zakażeń w ostatnim tygodniu spadła o 20 proc., co może być jednak wynikiem ograniczenia testów przesiewowych.



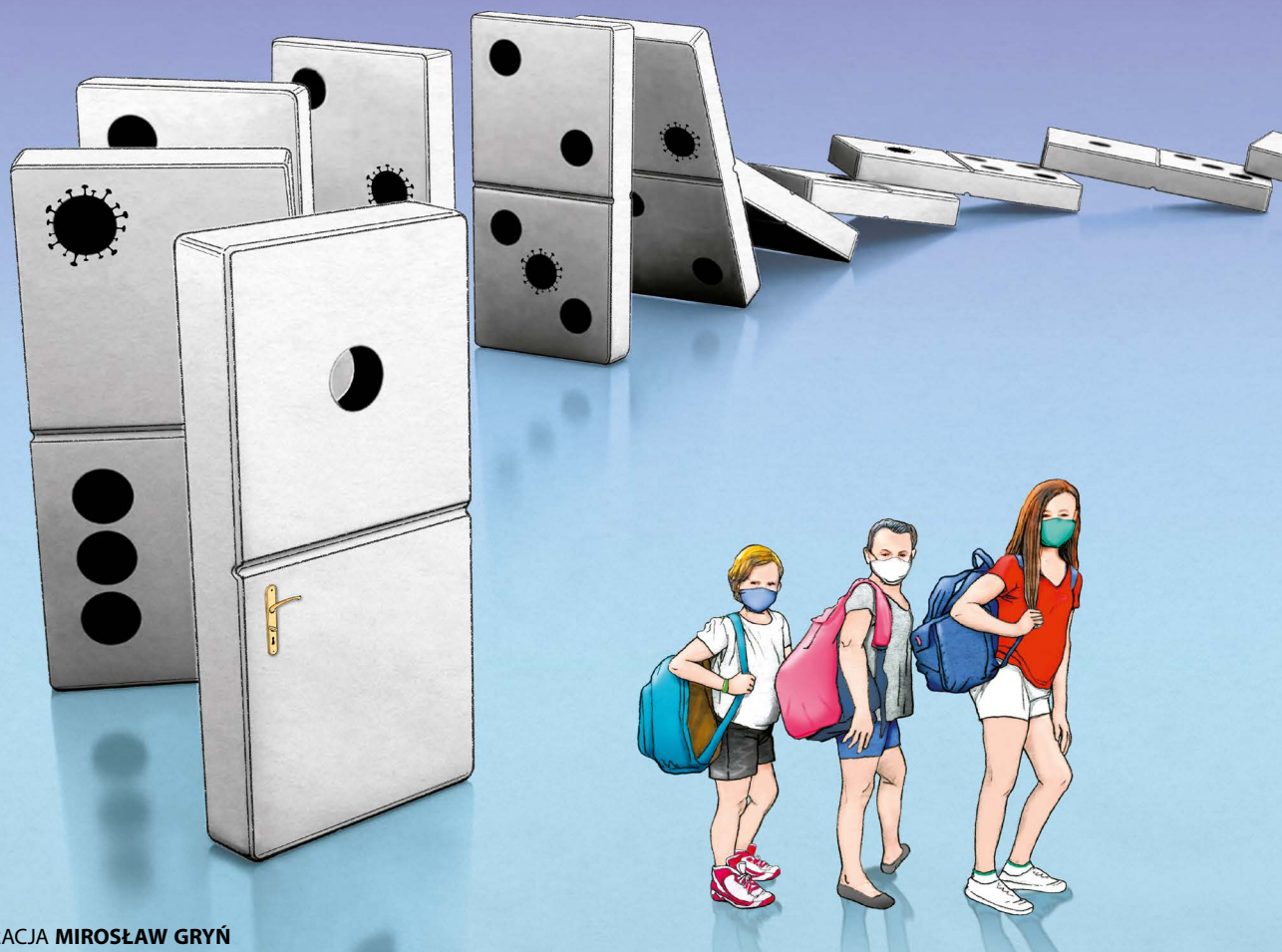
WEuropie prawie wszędzie zwiększyła się skala infekcji: odnotowuje się 31 tys. nowych przypadków dziennie. Najwięcej w Hiszpanii, we Włoszech (rozważana jest tu ewakuacja turystów z Sardynii), Francji i Niemczech (gdzie do końca roku przedłużono zakaz organizowania większych imprez kulturalnych i sportowych). W kilku miejscach protestowali negacjoniści wirusa, największa manifestacja odbyła się w Berlinie. Stycyniowe Forum Gospodarcze w Davos zostało przeniesione na początek lata. Wprowadzane są dodatkowe ograniczenia podróży; Węgry i Ukraina całkowicie zamknęły swoje granice przed cudzoziemcami.

Nauka, po prawie półrocznej przerwie, wraca do szkół. Przykładem Danii, która przywróciła lekcje w połowie maja, uczniowie dzieleni są na 10–15-osobowe grupy, które rzadko kontaktują się ze sobą. W Hiszpanii noszenie maseczek w szkołach obowiązuje już sześciolatków, w Grecji – także w przedszkolach, Bośnia przewiduje skrócenie lekcji do 20 minut.

Premier Finlandii socjaldemokratka Sanna Marin zaproponowała skrócenie czasu pracy do 6 godzin dziennie, ma to zwiększyć produktywność i zatrudnienie. Inicjatywę musi jeszcze poprzeć czterech rządowych koalicjantów. Niemiecki minister pracy Hubertus Heil w ramach walki z bezrobociem nie wyklucza skrócenia tygodnia pracy w niektórych branżach do czterech dni.

Wyspa Bali będzie do końca roku zamknięta dla turystów, których było tu 4,5 mln rocznie.

Do kwarantanny koronawirusowej Polacy zdążyli się już przyzwyczaić. Niemal każdy zna kogoś, kto się o nią otarł. Jednak wirus – latem buńczucznie odwołany przez rządowych prominentów – bije rekordy zakażeń i właśnie mierzy się ze szkołami pełnymi dzieci. W rok szkolny Polacy wchodzą z pytaniem: czy wszyscy pójdziemy na kwarantannę?



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Kwarantanna nasza powszednia

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

UCZNIOWIE Nowa rzeczywistość będzie się działa w postępie geometrycznym – jeden uczeń z covidem może zamknąć całą szkołę, wysłać na kwarantannę nauczycieli, kolegów i ich rodziców. Rodziny też nie w próżni społecznej, dlatego trzeba będzie zdecydować w sprawie kwarantanny osób, z którymi dorośli stykają się w pracy. Oraz ich rodzin.

Rodzina wysłana na kwarantannę z powodu covidu w szkole dziecka szybko spotka się poprzez sieć kontaktów z „dochodzenia epidemiologicznego” – metodą kół na wodzie – z wieloma w tej samej sytuacji i zapanuje powszechna kwarantanna.

Absurd? Niekoniecznie – ludzie, także bezdzietni, boją się, że rok szkolny pomnoży liczbę zakażeń, a kwarantanna

będzie pączkować na coraz szersze grupy. Jak będzie? Wszyscy mówią: zależy. Sprawę rozpozna się w boju. Na przykład zależy od tego, czy dzieci transmitują wirusa tak skutecznie jak dorośli. „Dziennik Gazeta Prawna” zamieszcza wykresy z komputerowych prognoz zakażeń koronawirusem po powrocie do szkół – wynika z nich, że wzrost zachorowań nie grozi Polsce tylko wówczas, gdyby okazało się, że dzieci słabo przekazują koronawirusa (10 proc. tego co dorośli). Jeśli transmitują 30 proc., już wydatnie wzrośnie liczba zachorowań i hospitalizacji. Jeśli natomiast dzieci przenoszą wirusa tak samo łatwo jak dorośli (80 proc.), to – jak pisze DGP – „jesienią czeka nas dramat”.

Obawy i niepewność dzielą instytucje państwowe powołane do przeciwdziałania koronawirusowi, od dawna przeładowane pracą. – *Spodziewamy się zwiększonej liczby przypadków zachorowań, choć w tej chwili trudno nam powiedzieć, jak się rozwinie sytuacja epidemiologiczna* – mówi Joanna Narożniak, rzecznik prasowy mazowieckiego państwowego inspektora sanitarnego. – *Za nami już miesiące ciężkiej pracy i ogromne doświadczenie zdobyte podczas prowadzonych koronawirusowych dochodzeń epidemiologicznych, obejmujących duże skupiska ludzi (typu szpitale, zakłady pracy, depeesy). Mamy przeciwione procedury działania i jeśli tylko zdrowie i siły pracowników Państwowej Inspekcji Sanitarnej pozwolą, to mamy nadzieję, że sprostamy i temu kolejnemu trudnemu wyzwaniu.*

To jedyne spośród pięciu pytań dziennikarza POLITYKI dotyczących praktycznej strony odbywania kwarantanny (jak kwestia przedłużających się kwarantann czy uznawania przez służby sanitarne komercyjnie przeprowadzanych badań na obecność wirusa), na które mazowiecki sanepid zgadza się odpowiedzieć. Na inne – jak mówią w sanepidzie – odpowiadać nie miałyby sensu, ponieważ procedury obowiązujące dziś mogą być nieważne jutro. Adam Niedzielski, minister zdrowia od kilku dni, właśnie zapowiedział skrócenie kwarantanny z 14 do 10 dni, ale oficjalnych wytycznych na razie brak. Za to z Ministerstwa Edukacji Narodowej płyną już ostrzeżenia, że nieuzasadnione nieposłanie dziecka w wieku 7–18 lat do szkoły będzie traktowane jako uchylanie się od obowiązku szkolnego (możliwość grzywny dla rodzica w wysokości 10 tys. zł).

PIONIERZY KWARANTANNY W sierpniu minęło pięć miesięcy życia Polaków z koronawirusową kwarantanną w tle. Widok odciętych od świata ludzi machających z balkonu policjantowi w radiowozie nikogo już nie dziwi. Obywatele przyzwyczaili się też do wiedzy, że kwarantanna nie oznacza choroby, a jedynie przewencyjne odizolowanie człowieka, który zetknął się z kimś zarażonym wirusem covid, np. w czasie wesela, na którym bawiło się kilkadziesiąt osób.

W marcu nic nie było zrozumiałe – zachodnią granicę zablokowały auta Polaków próbujących wrócić do domów. Każdy, kto wjeżdżał do Polski, szedł prosto na dwutygodniową domową kwarantannę. Wkrótce Polska zamknęła granice, a ich nieprzekraczalności pilnowali uzbrojeni w karabiny maszynowe żołnierze. Firmy wysyłały ludzi na przestojowe – wielu potem straciło pracę.

– *Wstyd się dziś przyznać, ale w tym najgorszym czasie większość naszego domu przestała się odzywać do M. (małżeństwo M. na kwarantannie po powrocie z pracy za granicą) – opowiada Sebastian, mieszkaniec jednej z łódzkich kamienic. – Krążyła lista podpisów za usunięciem M. z domu. Ktoś im nawet podrzucił zdechłego szczura na wycieraczkę. Wiadomo, każdy się bał, że się zarazi koronawirusem.*

Dziś mieszkanie M. stoi puste – nie wiadomo, czy wrócili do pracy, czy wynieśli się na dobre gdzie indziej. Podobnych odrzuć na początku czasu kwarantann było w Polsce dużo – w maju działkę pod Czaplinkiem, gdzie przebywał na kwarantannie mężczyzna, który wyprowadził się z domu, by chronić żonę w ciąży, zarząd ogródków działkowych polecił opasać ostrzegawczą białą-czerwoną taśmą. Sąsiedzi wybili okna w domku. Przebili opony w samochodzie.

Głośne były także przypadki wycieku danych ludzi na kwarantannach. Zgodnie z prawem ich adresy i nazwiska mógł znać sanepid i ośrodek pomocy społecznej (bo jego pracownicy pomagali odizolowanym, np. robili zakupy). Tymczasem zdarzało się jak w Zawierciu, że zakład oczyszczania podstawał pod domy objętych kwarantanną kontenery na śmieci oznaczone wielkimi napisami „COVID-19”.

RODZICE W ostatnich dniach sierpnia liczby zakażonych covidem w Polsce sięgają kilkuset dziennie (w sumie 66 tys. 870 osób, rekord to 903 przypadki 21 sierpnia), każdego dnia umiera kilkanaścioro pacjentów z koronawirusem. Dla porównania: rekord zakażeń pierwszej fali wirusa, gdy obowiązywał zakaz wstępu do lasów i zamknięte były granice, to 545 przypadków na dzień, wszystkich zakażonych było wtedy 9 tys. 287 (19 kwietnia). Jednak to właśnie dziś rząd poluzowuje obostrzenia kwarantanny i wysyła dzieci do szkoły – wielu rodziców nie rozumie tej dysproporcji. Pokazuje to sondaż SW Research dla „Rzeczpospolitej”: 43,1 proc. Polaków za tradycyjną formą szkoły, 33,3 proc. przeciw, 23,6 proc. nie ma zdania). – *Oczywiście chciałabym, żeby córka poszła normalnie do szkoły, to jest potrzebne i jej, żeby normalnie dorastała, i mnie, żebym mogła normalnie pracować, ale się boję* – mówi Kalina, pracownica biurowa, matka piątoklasistki z jednej z warszawskich szkół. – *Jestem całkowicie zdeorientowana i zmęczona tą sytuacją. Czuję się tak, jakbym nie mogła się doprosić prawdy od rządzących. W końcu tu chodzi o dziecko, ale także o zdrowie całej naszej rodziny.*

I wylicza: cała Polska musi nosić maseczki, a telewizja pokazuje, że prezes Kaczyński i premier Morawiecki jednak nie muszą – i to już któryś raz widać; poprzedni minister zdrowia zapewnia, że nie zostawi ministerstwa w czasie koronawirusa, a kilka dni potem odchodzi – i mówi, że już od lutego chciał odejść; minister edukacji mówi, że dzieci w szkole będą musiały nosić maski, a kilka dni później, że nie będą musiały – i że zabiegał o to w sanepidzie od dawna; premier ogłasza z uśmiechem, że już po koronawirusie i nie ma się czego bać, a kilka tygodni później mówi, że wirus jest groźny i trzeba nosić maski (ale sam nie nosi nawet w kinie). Ludzie znów omijają się szerokim łukiem na ulicach.

Córka Kaliny boi się iść do szkoły. Z drugiej strony na forach internetowych rodziców, które wrą przed rozpoczęciem roku szkolnego, nie brak głosów dorosłych absolutnie niewierzących w istnienie koronawirusa. Piszą, że to spisek – obwiniają przeróżne „ośrodki decyzyjne”, od globalistów, przez producentów sprzętu medycznego, po globallewaków. Są też i takie walczące matki, które głośno zapowiadają dzieciom, że nie posłają ich do szkoły, aby dostać grzywnę 10 tys. zł – tylko po to, aby z takim mandatem jako dowodem na piśmie pozwać Polskę do Strasburga za krępowanie swobód obywatelskich.

Dyrektorka szkoły córki Kaliny rozkłada ręce na onlajnowych spotkaniach z rodzicami – będzie się starała spełnić kryteria ministerialne, będą dłuższe przerwy, wietrzenie klas, rzadsze rozstawianie ławek szkolnych w klasach, płyny dezynfekujące, zakaz wstępu rodziców do szkoły, wuefy na świeżym powietrzu, dopóki pogoda pozwoli, obiadów w szkole na razie nie będzie. W sumie: no, zobaczymy.

Politykę słychać w wypowiedziach rodziców (koronawirus jako element gry politycznej w Polsce), ale i dużo rozsądnego zastanowienia (spodziewają się zamknięcia szkoły niedługo po jej otworzeniu, telewizja mówiła, że tak się działo w Berlinie – zatem: kupić mąkę, ryż, makaron, paczkowaną wędlinę, zgrzewki wody, bo istnieje możliwość wyładowania na kwarantannie).

Wśród dyrektorów i nauczycieli też dużo polityki, ale żaden się nie wypowie głośno. Ale mówią niektórzy samorządowcy, bo to samorządy za szkoły odpowiadają.

– *Każdy dyrektor szkoły musi oddzielnie opracować procedury obowiązujące w jego placówce w związku z koronawirusem* – mówi Andrzej Romańczuk, starosta powiatu włodawskiego (obecnie połowa pracowników starostwa na kwarantannie po porannym telefonie jednej z urzędniczek, że jest zakażona). – *W kwestii organizacji roku szkolnego rząd zostawił samorządy same sobie. Jestem święcie przekonany, że w razie gdyby w którejś szkole pojawił się covid, również odpowiedzialność rząd zrzuci na samorządowców.*